

# Orion

**Maciej Głowacki**

„Klątwa, zanieczyszczenie, anomalia, są różne słowa, próbujące wyjaśnić pochodzenie fundamentów, na których opiera się nasz świat. Bogowie są tacy odlegli, niepewni i cisi, ale ich wyroki uderzają z mocą gromu i łamią kręgosłupy niewiernych. Nigdy nie wiesz, na co natrafisz, kotarę mroku, studnię światła, zwłoki otwarte jak kielich kwiatu albo złotą różę, wyrastającą z kamienia węgielnego. Zachowaj otwarty umysł, bądź cierpliwy, bądź odważny i pamiętaj: śmierć nie musi oznaczać porażki”. ~ Z nauk dobrodzieja Tonitesa.

Patio skupiało wokół siebie rozległą, piętrową konstrukcję, znad której dobywał się purpurowy dym. Dach gineceum strzaskany był do zewnątrz, jakby coś masywnego wyskoczyło przez sufit. Nieustanna woń lilii i płynów ustrojowych mieszała się w wycieku, spływającym przez górne, okrągłe okienka.

Obserwator zamoczył dwa palce w pasowej strużynie i przyłożył je pod nos. Wciągnął zapach w nozdrza, skrzywił się wyraźnie i skierował kroki do okutej cedrowymi zdobieniami bramy. Rezydencja przypominała pohańbiony grobowiec, którego nikt nie odwiedzał.

– Pokój temu domowi i wszystkim jego mieszkańcom – wyszeptał, uchylając drzwi z wyłamanym zamkiem. Chłodny powiew wiatru zaświstał w przeciągu.

W centrum dziedzińca tkwił płaski kamień ofiarny, na którym siedziała drobna postać. Długie, kręcone postronki włosów wydawały się lekko żarzyć w półmroku, roznosząc nieadekwatnie przyjemny zapach.

Intruz mrugnął i ołtarz był pusty. Po postaci nie było ani śladu.

Rozejrzał się ostrożnie, zbliżył do poczerniałych schodów i wspiał na drewniany, łukowaty balkon. Na ścianach ciągnęły się długie wyżłobienia, przebijające przez zaprawę i dodatkową warstwę farbowanego kruszcu. Na wykładanej heblowanymi deskami podłodze było coś jeszcze. Prawie czarne w tym świetle pasy rozlanego płynu, może wina?

Wysoki śmiech poniósł się echem przez rezydencję.

Intruz skierował kroki w prawo, przekroczył nad powalonym zydłem i wychylił się do obszernego pokoju dla gości. Prostokątna podłoga, długa na dziesięć kroków dźwigała na sobie chaos rozrzuconych ubrań, naczyń i mebli. Wyglądało to dosłownie, jakby ktoś wyrwał budynek z ziemi, potrząsnął nim i odstawił na miejsce.

– Tylko gdzie są... – mruknął pod nosem nieproszony gość i urwał nagle.

Z dołu dało się słyszeć gardłowe, niskie bulgotanie. Jakby warczenie głodnego psa albo wrzący gar pełen zupy. Coś zapachniało dymem i ziemią.

Tanecznym krokiem wyminął odwrócony do góry nogami stół, przypadł do balustrady i zeskoczył ostrożnie z powrotem na dziedziniec.

Wzdłuż ścian pyszniły się karnym rzędem urny, wazy i naczynia wypełnione po brzegi ziarnem. Z niektórych wręcz wysypywały się świeżo zerwane plony, zupełnie jakby ktoś celowo chciał uzurpować przepych i dobrobyt.

Gość zbliżył się ostrożnie do naczynia, nabrał ze środka garścią i uniósł ku górze. Spod cienkiej warstwy pszenicy osypał się na ziemię siwy popiół z drobnymi grudkami złamanych zębów.

– Ossuarium – odezwał się, zdejmując z głowy wełniany kaptur.

Coś drobnego przebiegło za balustradą, chrapnęło i trzasnęło drzwiami piętra. Wystawione przed wejściem lampki oliwne przewróciły się z łoskotem.

Ciężki wicher przetoczył się po wyjałowionych polach, zawiewając na ściany budynku całunem piachu. Brama otworzyła się z hukiem, wtaczając do środka kilkanaście łokci łańcucha, pokrytego rdzą. Pęta wskoczyły pod kamień ofiarny jak latający wąż, zawinęły się w kokon i wszystko ucichło, równie nagle jak zagrzało.

Mężczyzna zbliżył się w końcu do ołtarza, spojrzął na odsłonięte trzy czwarte księżycy i dobył z siebie mocny głos:

– Nazywam się Orion Dobrodziej z Ignispolis. – Odtoczył z pasa żeliwny lampion, zapalił gołymi palcami płomyk i wzniosł dłonie ku górze. – Przyniosłem światło.

Ze skrytej w mroku kuchni dobył się brzęk tłuczonej gliny. Świdrujący uszy głos wyszeptał coś i nagle zmienił się w bezładny warkot. Przez chwilę jeszcze dźwięki mieszały się ze sobą, nawzajem nakładały i dyskutowały, by w końcu ucichnąć do reszty.

Wreszcie z ciemności pomieszczenia wyszła na światło księżycy łapa. Złożona z czterech stawów, kostropata ręka pokryta szarą skórą. Zaraz za nią wytoczyła się cała reszta ciała, równie długiego, wychudzonego i do bólu przypominające sylwetkę człowieka

Głowa domownika była całkowicie łysa, pozbawiona nosa, oczy i uszy miała zalepione czerwonym woskiem. Tylko szeroka jama ustna wystawała na świat w pełni okazałości. Biała grań zębów zamykała się na sobie i otwierała, co rusz mieląc pustkę.

– Więc jednak Oskomnik – mruknął zmieszany Dobrodziej do siebie. – To nie wyjaśnia wycieku płynów.

Dziwadło zbliżyło się o krok do intruza i zasyczało jak wąż. Było w nim tylko na tyle człowieczeństwa, by odróżnić od dzikiej bestii. Mimo to nic nie wskazywało na to, by dało się z nim porozumieć. Każdy człowiek, troszczący się o swoje życie, zbiegłby z krzykiem przy pierwszej okazji.

Orion podniósł lampion wyżej, drugą rękę wystawiając przed siebie, jakby wręcz zachęcał istotę do podejścia kolejnego kroku.

– Nie lękaj się, chcę ci pomóc.

– Pomóc? – wyszczało stworzenie. Słowa współgrały z hulającym nieustannie przeciągiem. – Ty mi nie możesz pomóc. Ty sobie nie możesz pomóc.

– Mimo to zrobię wszystko, by choć spróbować.

Dobrodziej wygiął się w lewo i w prawo, zdejmując z pleców wór podróżny. Ze środka wolną dłonią wyłuskał podpłomyk z kilkoma oliwkami i położył jedzenie na ołtarzu.

Dziwaczny domownik zbliżył się, zaświergotał nowym głosem i pochłonął strawę naraz. Jego wątły tułów nadal był patykowaty i niemożliwie chudy. Wyglądało to, jakby ktoś połamał dwóch ludzi i złożył z nich jednego, cierpiącego za obu.

– Więcej.

– Musisz być bardzo głodny. – Orion uśmiechnął się i wyjął pokryty skórą bukłak, kładąc go wraz z lampionem na ołtarzu.

Oskomnik na moment speszył się, rozejrzał nieufnie i jakby z trudem chwycił za naczynie, stojące tak blisko źródła światła. Wyglądało to, jakby z każdą chwilą musiał iść na kolejne ustępstwa, zwabiany darami od obcego człowieka.

Bukłak zniknął w całości pośród bezmiaru kłów szarej istoty.

– Więcej.

– Nie mam więcej – wyznał szczerze Orion, otwierając wór. – Dałem ci wszystko, co miałem, dlatego proszę cię, abyś mi powiedział: co tutaj robisz?

Dziwadło przymknęło usta, wyprostowało się i złożyło pazurzaste palce na skroniach. Przez moment trwało tak, skąpane w blasku księżyca równie bladym co ono. Twarz wyprostowała się na moment i ukazała ludzki smutek.

– Miałem dom, ciepłą przestrzeń, trochę dobytku jak to w naszych stronach. Pracowaliśmy u Polidora w polu, gdy jeszcze był zasiew. Nie wiem kiedy, od tamtego dnia nic nie widzę. – Stworzenie mówiło powoli, chrapliwie, ale zrozumiale. – Czasem widywaliśmy ją, nędzną, przebrzydłą i paskudną...

– Oskomniku, powiedz mi, kogo widziałeś.

– Polidora jedyną córkę. Zawsze, gdy nas widziała w polu, śmiała się i wskazywała palcem opiekunce, a ta kazała jej przestać. Teraz gdy o tym myślę, to pamiętam, że oni wiedzieli. Wszyscy wiedzieli, ale tylko ona miała dość bezczelności, by śmiać się z nieuniknionego.

– Co się stało?

Stworzenie parsknęło śmiechem, przechyliło głowę na bok i wyszczerzyło się podłużną, prawie ludzką twarzą. Nagle wosk w głowie Oskomnika zabulgotał, jakby karząc go za mówienie czegokolwiek.

– Przyszliśmy z żeńcami do właściciela. Zastukaliśmy w bramy domostwa...

Wtem drzwi huknęły, ponownie uderzając o łukowate sklepienie. Obydwa cedrowe skrzydła wyleciały nagle z zawiasów, tratując po drodze grządki z uschlými kwiatami. Oskomnik kontynuował niezrażony, śmiejąc się coraz mocniej, jakby już wyczekiwał puenty własnej opowieści.

Rezydencja na moment zabłysnęła, jakby naśladując swój dawny wygląd. Po placu przeszło kilka plam światła, przypominających z pozoru zagubionych ludzi. Z dachówek zaczął osypywać się kurz, przykrywając dawne ślady.

– On wtedy spytał się o to, co robimy pod jego domem. Ja już się spodziewałem, ale inni jeszcze nie. Odpowiedziałem mu: przyszliśmy po swoją należność. Powiedział, że nas nie zna i nigdy nie widział na oczy. Gdy kazałem zawołać córkę, ta wyjrzała jedynie z ponad muru i tak poważnie, jak nigdy powiedziała... Powiedziała... Wiesz, co powiedziała Dobrodzieju? Odważysz się zgadnąć, umiesz sobie wyobrazić tyle niegodziwości?

Orion zacisnął usta w wąską kreskę, przysunął się nieco do ołtarza i położył dłoń na lampie. Płomyk zadygotał i zajaśniał mocniej, dodając nieco otuchy właścicielowi.

– Nie wiem Oskomniku...

– Że takie psy widziała tylko w polu, na czterech łapach.

Istota zarechotała, ciągnąc długimi pazurami za własną głowę. Skoczyła w bok, chwyciła za urnę z prochami i rzuciła z niezwykłą siłą ku przeciwległej ścianie. Chmura pyłu rozniosła się po patio wraz z odłamkami wypalanej gliny.

– Jeśli ja jestem psem, to ona niech będzie suką! – zajazgotało stworzenie, próbując usilnie zerwać wosk z oczu. – Zakradłem się nocą ciemną, w godzinę sowy. Własnymi palcami wspiąłem po fasadzie, aż do okna.

– Zabiłeś ich – szepnął przejęty Dobrodziej i zacisnął dłonie.

– Gdyby tylko – jęknęło stworzenie, jakby było skruszone na myśl o swoich poczynaniach. – Daj Ignisie, gdyby tylko. Wcześniej zbrukałem najmłodszą pociechę Polidora, by później wyciąć sierpem domowników. Spaliłem ich na proch, na tym ołtarzu. O tak, smolili się i ciągnęli po ziemi, już pamiętam.

Orion pokiwał głową, spojrzął ku balustradzie i dostrzegł jakiś ruch. Zaraz jednak z powrotem spojrzął na swojego rozmówcę, który teraz wydawał mu się niezwykle pożałowania godnym i przykrym nieszczęśnikiem.

– Poczynilem nieczystość wobec Ignisa, Wairotesa i Spentesa. Złe duchy nie tylko przekłęły to miejsce, ale i przywiązały mnie do niego. Wydłużyły mnie, by więcej mojego ciała mógł szarpać głód. Zaślepilli oczy i uszy, bym nigdy nie widział dobrego i nie usłyszał pokrzepienia. Słyszę cię jak przez gęstą żywicę Dobrodzieju. Nie widzę cię wcale, twój głos dobiega znikąd i znaczy tyle to żwir pod stopą. Mówisz, że chcesz mi pomóc, ale dla mnie to tylko informacja, to tyle, co rysa na kamieniu, którym ktoś we mnie ciska.

– Uprawiałeś te ziemie, a teraz nie da ona nikomu ani ziarna. Potrzebujemy każdego skrawka równiny, na której rośnie życie...

– Dla mnie nie ma już życia, więc czemu ma mnie obchodzić wasze?!

– Może jest w tobie coś dobrego?

Szare stworzenie zarechotało i nawykami wbiło szpony w wyżłobienia na własnej skórze. Co rusz zaciskał palce, marszczył czoło, a jego brzuch wydawał z siebie przeciągły, niosący się echem grzmot głodu.

– Odrzuciłem płomień, teraz tego żałuję. Nie odpokutuję win, nie zadośćuczynię pokrzywdzonym. We mnie nie ma już nic poza mrozem i głodem. Odsunąłem Ignisa, nie przyjął mnie Nixis. Nie ma takiego boga, który dałby mi łaskę i nie ma takiego człowieka, który zdjąłby ze mnie klątwę. Nie chcę cię nawet pożreć, bo mnie to nie nasyci. Tak długo, jak będę chciał czegokolwiek, nie dostanę nic.

Orion spojrzął na srebrzysty księżyc, odetchnął głęboko ciepłym powietrzem miesiąca nazwanego ku czci Wairotesa i naciągnął materiał szaty do ramienia. Wystawił przed siebie nagie, umięśnione ramię i powiedział spokojnie:

– Posił się.

Oskomnik pokiwał głową na bok, wciągnął w nozdrza nęcący zapach świeżego mięsa i oblizwał suche usta, cienkim, czarnym jęzorem. Oferta świeciła ciepłym, jasnym światłem w szarości jego przekłętego świata. Tylko ofiara miała jakąkolwiek wartość. Nie myślał o niczym innym niż o mięsie.

– Czego chcesz w zamian?

– Nie masz niczego oprócz długu, którego nie potrafisz spłacić. Daję ci światło, a ty nim zapłać za swoją wolność.

– Ty chyba nie wiesz... – warknęło stworzenie z nagłą wściekłością. – Czego ja dokonałem! Nie rozumiesz, jak zostałem upodlony! Jedyne co mi zostało to poczucie niesprawiedliwości i chcę je w sobie pielęgnować, chcę czuć ten głód na złość światu. Jeśli mnie teraz nakarmisz, to ja i tak będę znowu głodny, ale na dodatek pozbawiony własnej dumy i godności.

– Wiem – odparł poważnie Orion, podsuwając bliżej rękę. – A teraz posil się, ja przyjmę twoje winy i obmyję się z nich. Zachowaj swoją godność, zrób to, bo ja cię o to proszę, pobłogosław mi swoimi zębami.

Szary domownik spoglądał jeszcze przez moment niepewnie, aż w końcu skoczył przed siebie jak lew górski. Przewrócił swojego rozmówcę do ziemi i wpił długie zęby pełne zadziarów w miękką skórę. Krew trysnęła na boki, znacząc cętkami siwą skórę i grunt dookoła. Po raz pierwszy Oskomnik poczuł smak, euforię i zapragnął więcej.

Bestia szarpnęła się, jakby próbując odgryźć kawał mięsa dla siebie i pochłonąć jeszcze. Chciała zagarnąć wszystko, kierując się głodem, nieposkromionym apetytem kłątwy.

Orion wolną dłonią wyciągnął zza pasa krótki nóż i wraził w brzuch stwora. Ostrze utorowało sobie drogę w długim ciele napastnika aż do pachwiny. Ze środka nie bryznęła żadna posoka, jedynie dym i pył opadły nieśmiało.

Oskomnik zadygotał, wyprostował się nagle i z gardłowym chrapnięciem padł na ziemię. Czarny jęzor posunął po piasku, zęby zaklekotały o siebie i przekłęty wybełkotał ostatnie słowa:

– Dziękuję.

Dobrodziej obejrzał się na rękę, z której zwisał krwawy strzęp skóry i śliski kawał czerwieni. Nabrzmiące żyły pulsowały arytmicznie, zdając się huczeć z siłą dzwonu.

– Wszystko będzie dobrze – wyszeptał, z trudem unosząc się na równe nogi. – Spokój, spojrzenie w górę, oddech z głębi, krok za krokiem. Próg śmierci to nadal obszar życia. Jeśli tylko możesz iść, to możesz wrócić.

Doczłapał tak do łuku, gdzie przed chwilą jeszcze stały drzwi. Przeciągle jęknął, aż jęk przerodził się w wycie bólu i w końcu położył się, oparłszy głowę o kamienne ramie sklepienia i znieruchomiał.

Coś zastukało obok.

Odruchowo chciał poderwać się, obejrzeć za siebie, ale jedyne co zrobił, to sapnął umęczony. Nieskończenie powoli skrzył wzrokiem na ułamaną tarczę księżyca, następnie dopiero na źródło dźwięku.

Drobna dziewczynka z żarzącymi się jak pałki kadzideł włosami. Nie wiadomo skąd się tam wzięła i co robiła, jedynie pachniała intensywnie. Podkreślone antymonem oczy wydawały się świdrować Oriona na wylot.

– Czyli dobrze mówiłem – wysapał powoli Dobrodziej, siląc się na nieprzytomny uśmiech. – Jeszcze ty.

Dziewczę zbliżyło się do intruza i przysiadło po przeciwnej stronie łuku bramy.

– Masz jakieś imię?

– Nie – odezwała się w końcu, dorosłym i wyraźnym głosem.

– Chcesz jakieś?

Wzruszyła ramionami od niechcenia.

– Może być Eunika? To ładne, dobre i...

– Podoba mi się.

Orion opuścił głowę, przymknął oczy i mruknął coś niewyraźnie. Zaraz jednak poderwał się nagle, pot spływał mu po czole. Nie wiedział, czy przysnął, czy zdążył się powstrzymać. Ręka dalej piekła jakby włożono ją do ogniska.

Obejrzał się na kończynę, była zabandażowana grubo czerwoną szarfą, która zwykle nosili zamożniejsi. Teraz droga ozdoba spływała szkarłatem i sunęła cennym materiałem po pokrytej kurzem martwej ziemi.

Eunika siedziała dalej tam, gdzie wcześniej, jakby wcale nie ruszyła się nawet odrobinę. Nic w tym dziwnego, w końcu nie mogła być człowiekiem.

– Jesteś dobrym duchem? Nie wyglądasz na nic, co bym znał. Dziecięca buzia, te płyny z gineceum... Taaak, już rozumiem.

Orion wyszczerzył się w uśmiechu, przyłożył dłoń do twarzy i spróbował odgonić kolorowe mroczki sprzed oczu. Przez moment rozglądał się jeszcze, słysząc w oddali szum wstających z popiołu łąnów pszenicy.

Promienie światła rzucały blask na rozchylające się morze szarości. Wyjąłowane pole wracało do życia, oczyszczone z klątwy Oskomnika. Życie zjawiało się namacalnie, wyginając ku górze gałęzie drzew i zagęszczając sieci korzeni. Wiatr zawiął cicho pomiędzy kłosami. Świat dosłownie podnosił się z grobu.

– Polidorowa córka była w ciąży. Zabicie nienarodzonego dziecka wywołało drugą anomalię, mam rację?

Dziewczynka pokiwała głową, odgarnęła palący się kosmyk dymu i wikliny z czoła. Wyglądała jak kukielka, skręcona z miotły, albo starej szmatki.

Dobrodziej spojrział spokojniejszym okiem na ugryzione ramie. W chwilach, gdy nic nie mówił, inkantował modlitwę. Po latach nawyk wchodził sam i właściwie, gdy tylko się nie odzywał, to modlił się lub powtarzał mantry.

– Co mogę dla ciebie zrobić? Twój przypadek jest wyjątkowo trudny. Większość nieczystości można zmyć zadośćuczynieniem, ale w tym wypadku chyba nie ma ko...

– Weź mnie ze sobą – odezwała się poważnym głosem. – Odchowaj mnie jak swoją, pokochaj, a zniknę.

Orion zamrugnął zdziwiony, strzelił wzrokiem na boki i ponownie poprawił się na chropowatym kamiennym oparciu. Coś było zdecydowanie nie tak. Nie mówiła tak, jak

powinna była mówić. Nie zachowywała się tak, jak zrobiłby to duch lub anomalia. A mimo to Dobrodziej miał wrażenie, że dziewczynka nie kłamie.

– Zazwyczaj anomalie są nieco bardziej misterne.

– Nie chcę żyć – szepnęła z cicha. – Jeśli tylko mnie pokochasz, tak jakby to zrobiła moja matka, wtedy będę wolna. Będę mogła odejść z tego świata.

– Hejże, nie jest u nas tak źle... – Orion skrzywił się, widząc minę anomalii. – Dobrze, zgadzam się. Przyjmuje na siebie to brzemie, niech Ignis dopisze kolejną, lewą stronę księgi. W końcu tyle ich zostały, prawda? Tyle rzeczy do zrobienia, tyle wschodów słońca i tyle...

Oczy zmęczonego Dobrodzieja zapadły się głębiej niby myszy w norkach. Poczł, jak przyływ ciepła zabiera go ze sobą i wynosi gdzieś w dal. Nie mógł już rozróżnić jawy od fantazji. Może to wszystko mu się tylko śniło? Może nawet Oskomnika nie było?

Na pewno nie było, bo znalazł się przed swoim domem. Obita płaskimi kamieniami droga biegła między dwoma rzędami smukłych akacji. Mocny zapach baraniny dobiegał wraz z łańcuchami dymu z ponad obrębu murów domostwa. W polach nie było ani jednego robotnika, lecz nie zwrócił na to uwagi. Radość z rychłego powrotu do domu przesłaniała wszystko inne.

Zerwał się do biegu. Skórzane podeszwy ślizgały się po wyginających się ku górze, dłużących się ospale kamieniach. Dom był coraz dalej i dalej, znikał na horyzoncie wraz z pojedynczymi chmurkami. Wśród lazurowego nieba widać już było tylko drobną strużynę znad ogniska.

Wtem huk i trzask palonego drewna. Ogień, wszędzie ogień i krzyk.

Orion spojrział na stojące przed nim własne ciało, które po chwili podniosło ku firmamentowi nieba pokryte czerwienią dłonie. Stał przed sobą samym w jednej chwili i nagle w następnej rozpadł się w drobny, czarny proch. Został jeden Orion, nie wiedział, który z dwóch.

Dziedziniec pękał, tak jak pęka upuszczona miska. Rozpadał się na wszystkie strony, rozpraszając drobiny i odłamki. Całe fragmenty domu po prostu znikły gdzieś w bezmiarze kurzu i płomieni.

– To się nie zmywa – szepnęła ślizgający się po uszach głos zza ściany dymu. Na moment wśród płomieni błysnęły dwa błękitne ślepie i mrugnięciem zdjęły osnowę.

Powietrze wdarło się orzeźwiająco w płuca Oriona, zwiastując wejście w nowy świat.

Świtało nad masywem dwóch, chylących się ku sobie gór. Jedna z nich była u boku ścięta i pokryta białymi pryzmami wykopalisk marmuru. Łany zbóż chyliły się wśród wiatrów pory rozkwitu. Wśród dalszych wrzosowisk przechadzał się ospale zwierz o rozległych rogach z kościstych łopat.

– Krzyczałeś. – Odezwał się kobiecy, miękki głos.

Eunika, a właściwie to nie ona. Wyższa, starsza, już nie z włosami jak płonąca wiklina, a bardziej, jak miedziany stożek, spięty złocistym sznurkiem. Zielone, nienaturalnie jaskrawe oczy, nieco zbyt małe wargi i szpiczasty nos. Już nie dziewczynka, bardziej kobieta, ale nadal Eunika.



– Zdarza mi się – odparł po chwili wahania Dobrodziej i dźwignął się ku górze.

Przeciągnął się zadowolony, coś strzeliło między ramionami. Jeszcze chwilę kręcił głową i obejrzał się na zasklepione ramię, na którym pozostała stosunkowo niewielka, blada blizna. Wydawało się, jakby ugryzł go pies co najmniej dekadę temu, albo i dłużej.

– No i po wszystkim.

– Wygląda okropnie – stwierdziła z przejęciem Eunika, chwytając go za dłoń. – Będzie się babrać, już się jątrzy.

– Co ty mówisz? Przecież ledwie widać cokolwiek.

Kilka razy zamrugał, przeciągnął palcami po ranie i dostrzegł, jak ślady po zębach czerwieni się i żółkną na przemian. Fioletowa wydzielina krzepnie na zmianę i rozplywa się pod powierzchnią skóry, gdzie zaczęła zbierać się lepka cysta.

Świat mieszał mu się przed oczami, to, co chciał widzieć, a to co było naprawdę, walczyło ze sobą o jedno miejsce.

– No tak, wygląda jednak niezbyt przystępnie – przyznał w końcu. – Chciałem po prostu optymistycznie do tego podejść.

Eunika spojrzała na towarzysza z pewnymi podejrzeniami. Ostatecznie jedynie pokiwała cicho głową i wskazała na żeliwną lampę, przytroczoną do swojego paska z cielejącej skóry. W jej oczach była dziecięca ciekawość i obcość anomalii, która nie w pełni rozumie świat, którego nie mogła wcześniej doświadczać.

– Moja lampa – stwierdził mężczyzna, ale szybko mu przerwano.

– Moja lampa. Taki zastaw, dopóki nie spełnisz swoich warunków umowy.

– Umo... A tak, wybacz, jestem po prostu zamroczony. Na pewno się dogadamy.

– Już się dogadaliśmy, pokochaj mnie jak córkę i daj odejść.

Dobrodziej rozejrzał się zmieszany, przesunął o krok w tył i oparł plecy o kamienny łuk dziedziny. Sapnął wreszcie głośno, uniósł ręce w poddańczym geście i ustąpił:

– Dobrze, załatwię to. – Przeciągnął dłonią po karku i wyznał cicho. – Nie wiem jeszcze jak, ale to zrobię. Na pewno są jakieś prostsze sposoby.

Anomalia pokiwała głową i obejrzała się na bujną roślinność dookoła. Orion uśmiechnął się lekko do siebie, widząc miejsce, gdzie jeszcze niedawno kruszyły się pod butem wypalone równiny dawnych miejsc orki.

– Moja praca skończona, mogę... Możemy wracać do domu.

Eunika ponownie skinęła i spytała rzeczowo:

– Gdzie jest ten dom?

– Na południe, jak się pospieszymy to dzień drogi, chyba że po drodze złapiemy wóz.

– Ludzie są tu życzliwi?

Dobrodziej postąpił wzdłuż traktu, prowadząc za sobą towarzyszkę. Co rusz chwytał się wolną dłonią za ranę lub za puste miejsce po lampionie, nie mogąc znaleźć spokoju.

– Jak wszędzie – odpowiedział zagadkowo. – Tam, gdzie nie ma ludzi może być tylko zło. Bez naszej życzliwości świat staje się jałowy, pusty, nie daje owoców. A ci, którzy niszczą świat na własne życzenie, sami stają się bezwolnymi narzędziami zepsucia.

– Tak jak to straszycie? – spytała dziewczyna, skinając głową w kierunku rezydencji.

– To był nieszczęśnik. Może i na własne życzenie, ale jemu też zrobiono krzywdę. Bogowie mają... Powiedzmy, że ich sprawiedliwość jest niemal zawsze bezbłędna, ale istnieje pewna szara strefa, gdzie ludzkie przewinienia potrafią być ukarane mniej lub bardziej surowo, niż na to zasługują. W tym drugim przypadku powstają miejsca, gdzie nie sposób zaznać spokoju, a sama przestrzeń dookoła wydaje się skażona, zabrudzona czynami, których była świadkiem.

– W takim razie rozkład musi być wszędzie, gdzie są ludzie.

– Dlatego jesteśmy my, dobrodzieje, czynimy dobro, pokutujemy za zbrodniarzy, obmywamy się za zanieczyszczonych i naprawiamy to, co zniszczone. Świat jest w stanie wiecznego zamarzania. Światła jest mniej z każdym dniem, chłód wkrada się do serc ludzi, a oni sami stają się zimni i nieczuli na zło, które wyrządzają innym. Staramy się więc nieść światło, ogień i ciepło.

– Brzmi strasznie – szepnęła Eunika. – Całe życie oglądać to zepsucie, a potem brać na siebie odpowiedzialność za złych ludzi. Nie lepiej jest dać sobie z tym spokój i żyć swoim życiem? Niech inni się tym zajmą.

– Po najdłuższych nocach są najjaśniejsze wschody słońca. Próbowałem żyć inaczej, ale wiesz...

Orion zatrzymał się na moment, położył Eunice dłoń na ramieniu i spojrzał jej głęboko w oczy. Jego tęczęwki przesuwały się powoli, odbijając promienie słońca jak pryzmy lodu.

– Zło jest tak samo straszne po obu stronach, zarówno kiedy je wyrządzasz, jak i kiedy je odczyniasz. A tylko jedną z tych dwóch rzeczy ktoś musi robić. Jestem pewien, że jest więcej chętnych do czynienia niegodziwości, więc czemu nie pójść mniej przetartym szlakiem i mieć dla siebie te wszystkie widoki?

Dobrodziej uśmiechnął się smutno, odetchnął z trudem i postawił kolejny krok na pustej ścieżce, wiodącej do domu.

Opowiadanie zostało zrealizowane dzięki wsparciu wspaniałych Patronów:

Paul Troffke	Grzegorz Dombrowski	Jacek Kloss
Rafał Krzyżanowski	Barbara Konopka	Marcin Gepner
Michał Misztal	Weronika Jaśkiewicz	Wojciech Dąbek
Kamil Szyłkiewicz	Jakub Pierzak	Miłosz Dunikowski
Wirginia Jankowska	Jakub Rogala	Krzysztof Negacz
Wiktor Ordon	Jan Guzik	Julia Podgórska
Damian Kurek	Cyprian Perepeczo	Kacper Jaśkiewicz
Marcin Ostoja-Helczyński	Michał Lipski	Edmund Kukowski
Barry Lidders	Mateusz Wyszyński	Damian Kurek